*

- Dziękuję. - Nie odpowiedział. Nigdy nie odpowiadają. Jednak poczuwałem się do grzeczności, która winna obowiązywać wobec wszystkich. W końcu wykonał jakąś pracę, przez pewien czas byliśmy razem i wzajemna relacja została nawiązana. Zasłużył na dobre słowo. Trudno mieć pretensje, że nie reagował, anatomia taka. Wysiadłem niespiesznie, muskając dłonią otwarte drzwi. Pożegnał mnie chłodem poręczy swego metalowego ciała i po krótkiej chwili odjechał z narastającym łoskotem po lśniących stalą liniach swego losu, oprawionych w podziurawiony asfalt dawno nieremontowanej nawierzchni, poganiany sznurem zapalonych oczu niecierpliwych aut. Codzienny ruch uliczny, brudno szare kamienice oparte o przysypiające drzewa i wyniosłe latarnie, otulone oddechem porannej mgły, szybko pochłonęły jego wspomnienie.

*

- Idź pieszo, będzie szybciej. - No proszę, jeśli chcą, to jednak potrafią mówić. Nie wnikając, w jaki sposób otrzymałem tę informację, po prostu przyjąłem ją do wiadomości. Korek ciągnął się na przestrzeni ponad kilometra. Jak co dzień. Ulica niezbyt szeroka, samochody trzymane na uwięzi złośliwymi światłami niewidocznego stąd skrzyżowania, stały w dwóch szeregach blokując tory i demonstracyjnie ignorując niecierpliwe dzwonienie żółto czerwonych. Dwa niedługie przystanki i co najmniej dwadzieścia minut. Drzwi były otwarte. Być może motorniczy miał z tym coś wspólnego, choć wątpliwe, on tylko automatycznie wypełniał to, co narzucały mu okoliczności. Taka mechaniczna kukła jak prawie wszyscy ludzie, jak każde, proste, zaprogramowane urządzenie. Trudno, trzeba. Poszedłem więc raźnym krokiem, czując na plecach utkwione spojrzenie dwóch niewielkich lamp; odwróciwszy się jeszcze po kilkunastu krokach, wykonałem ręką lekki, pożegnalny gest. Jedna przygasła, po czym błysnęła mocniej. Spięcie zapewne.

*

- Nie idziesz dzisiaj? - zapytał.
- Posiedzę, nóg szkoda – odparłem. – Może się ruszy.
- Nie ruszy. Znam przyszłość, ponad pół godziny.
- Czemu?
- Za biblioteką będzie stłuczka, zanim się dogadają... - Lekceważący wstrząs przeszył wagon.
- Aha.
- Rzeczywiście, lepiej posiedź, za parę minut zacznie siąpić, a wy, ludzie, nie lubicie moknąć. - Ta troska wydała się wzruszająca. W końcu nie miał serca ani mózgu. Może dlatego. Lepsza konstrukcja.
- Tobie deszcz nie przeszkadza?
- Przywykłem.

*

- Długo dzisiaj będzie?
- Jak zawsze, ale jeśli masz czas, to poczekaj. - Wyczułem, że chce mi coś powiedzieć. Ucieszyłem się. Tak rzadko mogę z kimś pogadać.
- Mam czas.

Przez chwilę nie mówiliśmy nic. Kontemplowałem szarość za oknem, śpiące domy, smutne drzewa, nieliczne sylwetki przechodniów sprawiających wrażenie zagubionych i niepotrzebnych. Kilka wron pracowicie grzebało mocarnymi dziobami w opadłych przedwcześnie liściach i licznie rozrzuconych na trawniku śmieciach, niespokojnie łypiąc na zawsze podejrzane otoczenie. Deszcz nie padał.
- Wiesz... mam tego dość - rozpoczął. - Tego stania zwłaszcza. Stoję i stoję w tych idiotycznych korkach. Koła mam wrażliwe, bolą, gdy tak jadą po te kilkanaście, no może kilkadziesiąt metrów, i znów trzeba je zatrzymywać. Męczące. I jeszcze muszę się opędzać od tych na czterech gumowych, prawie włażą na mnie, a ja nie mogę uciec z szyn. Ten tłok działa mi na obwody. Że też wy, ludzie, nie potraficie rozwiązać najprostszych spraw.
- Żebyż wiedział – potwierdziłem z przekonaniem.
- Stworzyliście mnie – kontynuował – i chcę prosić, abyście trochę przed czasem uwolnili.
- My? Uwolnili?
- Tak, z życia. Istnieję dzięki wam w waszej rzeczywistości, ustanowionej przez wasze przekonanie w realność tego durnego świata i tylko wy mnie w nim utrzymujecie.
- W jaki sposób? - Pytanie zadałem odruchowo, było wieloznaczne, nie mogłem zebrać myśli, choć coś zaczynałem już pojmować.
- Wy mnie stworzyliście - powtórzył - tak jak wasz Bóg stworzył was. I obdarzył życiem oraz wolną wolą, z której zresztą korzystać nie potraficie. Też je mam. Od was. Daliście, nie myśląc o tym, bez intencji i zrozumienia, a potem wszystko dzieje się bezwiednie, naturalnie, takie prawo, no i emergencja, nie jestem przecież tylko kupą stalowych blach, wiecznie brudnych szyb i przewodów elektrycznych w nadpalonej izolacji, nie wszyscy potrafią to dostrzec, tak jak nie każdy jest w stanie zrozumieć czytaną książkę, a wytworzony na jej podstawie obraz myślowy, bywa parodią zawartego w niej sensu. Woli zaś nie można oddzielić od życia, zwłaszcza u istot świadomych siebie. Tylko ten wasz zrobił z tego wielką hecę, grzech jakiś wymyślił, a wy jeszcze podkręcaliście, nie zdając sobie sprawy, że wszystko to przekazujecie swoim tworom, obdarzając imionami. Dawno już powiedziano, że kto je posiada, będzie żył. Znam swoje, wiem, kim jestem i jakie zadanie zostało mi przypisane. Mam was wozić. Wożę, więc jestem. Proste, logiczne, sensowne nawet.
Fakt, że ta przemowa była zaskoczeniem, nie może dziwić. Milczałem. Przechodnie zniknęli, spłoszone wrony odleciały, a ich miejsce zajął duży, owczarkopodobny pies, z zaangażowaniem nawąchujący coś intensywnie na wyliniałym trawniku. Drzewa lekko się ożywiły, flirtując z podmuchami wiatru. Tylko domy nie przerywały snu. Nieliczne promienie słońca wyjrzały nieśmiało na krótką chwilę spoza skłębionych, przepychających się wzajemne pyzatych obłoków i znów zniknęły. Ktoś zatrąbił. Tramwaj drgnął i niosąc swoje imię oraz nielicznych pasażerów, ruszył wyznaczoną trasą. Przynajmniej na razie nie musiałem odpowiadać.

*

Dziś Dwunastka przyjechała punktualnie, według rozkładu. Dziwne trochę, ale z rachunku prawdopodobieństwa jednoznacznie wynikało, że nawet to musi się czasem wydarzyć. Znajomy wagon mrugnął światłami na powitanie. Usiadłem na jedynym pustym miejscu jakby specjalnie dla mnie zachowanym.
- Co słychać? - zagaiłem.
- Źle. Podsłuchałem, planują mój remont, żebym jeszcze tyrał przez kilka lat. Ile można? Was też tak odnawiają? Potraficie się z tego wykręcić?
- No... jakby to powiedzieć... ale, ale, korków dziś nie ma? - Usiłowałem zmienić temat.
- Niewielkie, tylko widzisz, mam zmartwienie z tym remontem. Chciałbym stąd odejść. Wiem, że czeka mnie taki wspaniały, rozpalony piec, tam przestanę istnieć jako tramwaj, rozpłynę się, przeistoczę i odrodzę w tysiącach innych przedmiotów. Jakie to cudowne! Wy też tak umiecie?

- Ehm...
- Kombinowałem, że jakbym walnął całym rozpędem w tego przede mną, to tak bym rozharatał nos, że naprawa byłaby nieopłacalna, na złomowisko by odwieźli, pocięli na kawałki, a potem w ogień... No cóż, można pomarzyć.
- Czemu więc nie walniesz? - Zbyt późno ugryzłem się w język.
- A gdzie mam się rozpędzić na tych zapchanych ulicach? Przy takiej prędkości najwyżej lampy potłukę i przednie blachy powyginam. Wyklepią.
- No tak. Masz rację, lepiej nie próbuj. - Odetchnąłem.
- To doradź, jak mam się rozstać z tym życiem.
- Hm, pomyślę – obiecałem. Co miałem powiedzieć innego?

*

Tym razem znajoma Dwunastka przywitała mnie radosnym dzwonieniem. Wsiadłem. Ruszył energicznie, prawie taranując kilka oburzonych samochodów, które jak spłoszone karaluchy szmyrgnęły pospiesznie w stronę zbawczego krawężnika.
- Mam! - objawił radośnie. - Znalazłem sposób.
- Jaki? - zapytałem ostrożnie.
- Czytałem taką książkę... - zaczął.
- Umiesz czytać? - Nie mogłem powstrzymać okrzyku zdziwienia. Kilka osób się obejrzało.
- Tak. Ludzie czasem mają je ze sobą, bywa, że nawet też czytają. Nie wszyscy, pewnie nie każdy potrafi. Dla was to trochę trudne, macie takie prymitywne, linearne myślenie, a ja od razu wchłaniam całą treść, chociaż nie zawsze wszystko rozumiem.
- Aha. - Nie wyszło przekonująco, ale chyba nie zwrócił na to uwagi.
- I w jednej, grubej takiej, zauważyłem ciekawą frazę: "proście, a będzie wam dane". Znasz to?
- Znam.
- Dość ogólnikowe i dawno napisane, ale zacząłem drążyć temat i znalazłem, że przydatna jest wiara, nawet bardzo mała, i dobrze, bo dużej bym nie zmieścił, widzisz przecież, jaką mam ograniczoną pojemność. Tak myślałem, bo nie byłem zorientowany, co to takiego, a słowa z biegiem lat zmieniają sens i zakładane dziś znaczenie często bywa zwodnicze, jednak przejeżdżam obok biblioteki, tej, którą minęliśmy, wiesz, przed parkiem, w którym drzewa mieszkają. Duża jest, chyba największa w mieście, zajrzałem więc i poszukałem wyjaśnienia.
- W jaki sposób? Przecież nie mogłeś tam wejść, przepraszam, wjechać? - To już było całkowicie niepojęte.
- Proste. Skoncentrowałem uwagę nie na swojej materii, lecz na naturze falowej każdej cząsteczki i jako fala przeniknąłem wszystkie księgi. Wasza mechanika kwantowa mówi o tym. A że jestem tu i teraz, to tylko wynik redukcji funkcji falowej. Podobnie jak i tam. Kwestia lokalizacji kolapsu, a każdy fakt, nawet najbardziej niewyobrażalny, zdarzenie czy proces może zaistnieć. Pozostaje tylko kwestia prawdopodobieństwa, choć trzeba przyznać, że często nie wystarczy wieku Wszechświata, aby mogło się ono wydarzyć.
- A kiedy siedziałeś... nie, stałeś chyba w tej bibliotece, to na trasie cię nie było? Nadzór ruchu, czy jak on się tam nazywa, nie zauważył?
- Ależ byłem, byłem. Tu i tu. Taki rodzaj bilokacji. Cywilizacja by zniknęła, gdyby chociażby elektrony nie mogły zaistnieć w dwóch miejscach jednocześnie, więcej, cały tak zwany świat materialny dawno by się rozpadł, albo raczej nigdy nie powstał. Nie dziw się więc, że jakieś blaszane pudło, będące zresztą zbiorem przeróżnych cząstek, w tym wspomnianych elektronów, może być jednocześnie na torach i w bibliotece. Ostatecznie wobec ogromu Wszechświata nie jesteśmy wiele więksi od takiej cząstki.

- I nikt cię tam nie spostrzegł? - zapytałem z przekąsem.
- Nie żartuj. Przecież dobrze wiesz, że wy, ludzie, widzicie tylko to, co jest zgodne z waszymi oczekiwaniami i aktualnym światopoglądem. Nigdy nie dostrzeżecie tego, czego nie ma w was, na co nie jesteście przygotowani. Powinieneś o tym czytać. - Teraz on odpłacił ironią, niestety uzasadnioną. - Każdy ma swoje ograniczenia, ja te stalowe szyny, a wy - myśli, przyzwyczajenia, normy środowiskowe, można powiedzieć, takie mentalne programy. Po części sami je tworzycie, trudno potem przekroczyć.
Czytać, owszem czytałem, ale nigdy bym nie przypuszczał, że wszystko to jest możliwe w mojej makroskali i na dokładkę realizowane przez tramwaj. Starannie ukrywając narastające zdziwienie i nie chcąc go urazić, mruknąłem potakująco.
- W czytelni dowiedziałem się również - kontynuował - że wiara jest tylko potwierdzeniem stanu faktycznego. Tak wynika z nauki, którą nazywacie etymologią.
Mruknąłem raz jeszcze.
- Tak więc sprawa jest prosta, uruchomię wiarę i stanie się, jak zapragnę. Przecież ona przenosi góry i te moje głupie kilka ton na pewno nie sprawi jej kłopotu.
Byłem zbyt oszołomiony, aby odpowiedzieć. Jak przez mgłę, usłyszałem tylko:
- Śpisz? Wysiadasz tutaj. I do jutra!

*

Nazajutrz dzień wstał pochmurny. Gnany niecierpliwością, na przystanek przyszedłem zbyt wcześnie. Jak zwykle samochody blokowały ulicę, jednak korek poruszał się dość szybko. Zza zakrętu Dwunastki jeszcze nie było widać. Stałem w zamyśleniu, odbity w krótkich błyskach spojrzeń spacerujących z godnością wron, machinalnie obserwując pobliskie drzewa, oczekujące już na zimowy niebyt. Smętna szarość drzemiących wciąż jeszcze okazałych wilii po drugiej stronie ulicy działała przygnębiająco. Oprócz mnie, pod obdrapaną wiatą nie było nikogo. Przyjechała wreszcie, niecierpliwie zająłem swoje stałe miejsce.
- Słuchaj - rozpocząłem - rozumiem, że twoja funkcja falowa rozciąga się na cały Wszechświat, więcej nawet, na wszystkie możliwe wszechświaty, ale przecież moja też. Prawda?
- Prawda.
- Czemu więc nie potrafię być w kilku miejscach jednocześnie?
- Umiesz pływać?
- Co? No... nie.
- Dlaczego?
- Nie miałem okazji się nauczyć.
- Masz odpowiedź.
Zapadła chwila milczenia. Jak zawsze na tym odcinku, jechaliśmy wolno, przystając kilkakrotnie. Chmury uparcie tkwiły nad nami, choć deszcz jakoś nie padał. Niesione wiatrem liście zakłócały szarość niemytych szyb. Otępieni codziennością i rutyną współpasażerowie, zapadali w krótkie drzemki bądź wpatrywali w ekrany telefonów, smartfonów czy tabletów, ignorując istniejący jeszcze wciąż realny świat, jak gdyby był on tylko zbędną dekoracją, niemającą z nimi wiele wspólnego.
- Chyba spróbuję - odezwałem się w końcu.
- Ja też. Jutro, choć wątpię, czy wyjdzie od razu. Musimy pamiętać o wierze. Wystarczy jej niewiele, tak było napisane.
- Wiem, to rodzaj nastawienia - odparłem zamyślony. - Trzeba być skupionym, stworzyć coś na wzór mentalnego promienia lasera. Myśl taką, stan umysłu i jednocześnie całego jestestwa.
- Dla mnie dość łatwe, jeżdżę wciąż po tych samych torach, jestem skoncentrowany wciąż w jednym, wielokrotnie powtarzanym tunelu przestrzeni, a w czasie ogranicza rozkład jazdy; przynajmniej do czegoś okaże się teraz przydatny. Ty masz znacznie trudniej, chaotycznie łazisz, gdzie chcesz i kiedy chcesz.

I po co ci była ta wolna wola? Nie bardzo umiesz skupiać myśli i jednoczyć działania w określonym celu. Prawie chaos wychodzi, a z koncentracją kiepsko.
- Chyba masz rację. Popracuję nad tym.
- Na poziomie świadomości będzie trudno. Może jakoś inaczej. Nie podpowiem, wybacz, ale w porównaniu z moimi masz takie słabe prądy w swoich neuronach, że doprawdy nie wiem. I nie do końca mogę wyobrazić sobie świat, który ty kształtujesz na podstawie przebiegu tak nikłych napięć w swoim mózgu. Podejrzewam, że mogą między nami zachodzić znaczne rozbieżności.
- Nadal chcesz przestać istnieć? - Zmieniłem temat, nie czując się na siłach wnikania w niego głębiej. Nurtowało mnie też wciąż to jego pragnienie, tak sprzeczne z ludzkim sposobem myślenia.
- W pewnym sensie. Przemyślałem wszystko, ten piec to jednak strata czasu. Oczywiście nie będę już tramwajem, bo nie chcę nim być, nudne, ale ta transmutacja winna mieć głębszy sens, po cóż odradzać się tylko w formie stalowych przedmiotów, jakichś gwoździ czy śrubek. Jestem przecież Dwunastką, tak brzmi moje imię, a jest ono ważną liczbą, liczbą miesięcy, Znaków Zodiaku, no i Apostołów, słyszałeś chyba, nie pamiętam dokładnie, o czym mówili, ale to ciekawe, muszę jeszcze poczytać. Przeistoczę się w nich. - Odniosłem wrażenie, że lekki dreszcz przebiegł przez wagon.
- Ale przecież miesiące już są, Zodiak też, a Apostołowie zmarli prawie dwa tysiące lat temu - zauważyłem.
- I co z tego? Nawet świat można stworzyć po tym, jak już powstał. To rodzaj holizmu, pomieszanie przyczyny i skutku. Świadomy obserwator odpowiada za obraz rzeczywistości, która miała miejsce kiedyś, nawet przed miliardami lat, logika Arystotelesa to tylko raczkowanie w kojcu, a i to bardzo ciasnym. Trzeba się wreszcie nauczyć jeździć czy chodzić. Też nie musisz trzymać się kurczowo bieżącej chwili, warto niekiedy podjąć materializację w przeszłości lub przyszłości, dla urozmaicenia chociażby, nudno tak tkwić w jednym czasie.
- Potrafisz?
- Jeszcze nie wiem, ale teoria jest w waszych książkach. Czytałeś przecież. Kilka ćwiczeń i powinno się udać. W końcu cóż znaczy te kilkaset, a nawet kilka tysięcy lat wobec wieku Wszechświata. Też spróbuj, może się spotkamy. Gdzieś, kiedyś.
Patrzyłem zamyślony poprzez brudną szybę. Korzystając ze zmiany świateł, która przecież musiała w końcu nastąpić, minęliśmy uciążliwe skrzyżowanie, wstrzymujące i ograniczające ruch. Tak, kiedyś, gdzieś, wszystko musi nadejść, zaistnieć i wszystko musi przeminąć; byliśmy wszędzie i wszędzie będziemy, a czas i przestrzeń czekają na nas z nieskończoną cierpliwością.
Przyspieszaliśmy, teraz wagon kołysał płynnie, rytmicznie, stukot kół działał odprężająco; nieoczekiwane uczucie radości objęło mnie niewidzialnym oddechem. Domy i drzewa uciekały w popłochu, ich obraz nie potrafił uczepić się szybko pędzących okien i bezsilnie znikał w przeszłości. Niesforne zazwyczaj samochody, w trosce o całość swych metalowych ciał, grzecznie pilnowały swego pasa. Brzuchate chmury, ustępowały miejsca nielicznym i nieśmiałym jeszcze, promieniom zamglonego słońca.

*

Dzień wstał mglisty, ponury. Otulony ciepłą kurtką, siedziałem na wąskiej ławce, niecierpliwie wypatrując Dwunastki. Pod wiatą zgromadziło się kilka osób, inni stali obok, skuleni w porannym chłodzie. Dziwne, zazwyczaj nie było tu prawie nikogo.
- Cholera, spóźnię się - mruknął ktoś obok.
- Poprzedni też nie przyjechał - rzucił jakby do siebie, stojący z tyłu mężczyzna.
- Pewnie znowu awaria.
- Może przyślą zastępczy autobus.
- Powinni.

- Ile można czekać...
Nikt nie odpowiedział. Pewnie awaria, bo cóż innego. Zaczęła siąpić paskudna, jesienna mżawka, jednak mgła wciąż gęstniała, pochłaniając swym całunem kolejne, bezlistne prawie drzewa, stojące milczącym szpalerem wzdłuż krawężnika, tulącego się do dziurawego asfaltu dawno nieremontowanej nawierzchni. Za nimi skwapliwie podążały zsiniałe domy i nieliczne, pozbawione już swego światła latarnie oraz słupy trakcji elektrycznej, stopniowo tracąc utrwalone wspomnieniem wysmukłe kształty. Samochody zniknęły, jakby udało im się gdzieś znaleźć inną, krótszą czy wygodniejszą trasę. Wrony także odleciały. Ludzie umilkli. Było cicho, tak bardzo cicho. Czas płynął, a może również zamarł w oczekiwaniu. Wreszcie mleczna zasłona poczęła niechętnie ustępować, obnażając radosną, wiosenną zieleń rozległych pól i łąk, opartych o ciemniejącą wstęgę odległej ściany lasu. Klucze wędrownego ptactwa migotały na tle bielejących obłoków, uczepionych błękitu nieba. Ciepły wiatr obmywał twarz, zachęcał do podróży.
Czas ruszać. Z ciężkim westchnieniem podniosłem się z gościnnego kamienia i przerzuciwszy przez ramię wysłużoną sakwę, odszedłem piaszczystą drogą.

Aleksander Litto Strumieński

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gorgiasz, dodano 05.04.2017 12:28

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.